Nr. 9. Lwów, 1. maja 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

O CIĄGU SŁONEK.

O bezpośrednich przyczynach ciągu słonek pisze w *Oest.-Forst-und Jagd-Zeitung* p. E. Milany co następuje: „Podobnie jak inne rodzaje ptaków przelotnych, zmusza także słonkę do zmiany dotychczasowego miejsca pobytu brak pożywienia. Przelot słonki podlega ogółem biorąc zwykłym prawom przelotu ptaków — słonkę wiedzie także nadzieja, że znajdzie w przelocie swym takie kraje, które dadzą jej to, czego odmawiają jej na razie rodzinne okolice.

Główny kierunek przelotu wiosennego idzie z południowego zachodu ku północnemu wschodowi — w jesieni odwrotnie. Dawniej za kwatery zimowe słonek uważano wybrzeża północno-afrykańskie i mało-azyatyckie, dzisiaj wiadomą już rzeczą, że słonka dociera znacznie niżej i że w naszej porze zimowej można ją spotkać znacznie niżej i w znacznych ilościach, nawet na pokrytych krzakami i laskami równinach Samhary, płaszczyzny pustynnej, dzielącej Nil od Czerwonego morza, i wśród tz. czarnego kontynentu, na oazach Sahary itp. Także zalesione niziny, leżące pomiędzy Eufratem i Tygrem służą słonkom za miejsce pobytu wśród zimy.

Przed odlotem na północ, zgromadzają się słonki całemi masami na wybrzeżach północnej Afryki i starają się przebyć przez morze, w miejscach gdzie ono jest najwęższe. Wiedzie je słuszny instynkt, mówiący im, że morze jest groźnym dla nich elementem, pochłaniającym corocznie niezliczoną część podróżniczek, które wiatry zbijają z obranego kierunku lotu. Jest rzeczą powszechnie znaną, że słonki, zaskoczone w czasie podróży burzami i mgłami, opadają tysiącami na napotkane okręty i są tak zmęczone, że pomimo swej płochości dają się bez trudności łapać rękami.

Drogi, wiodące słonki do ojczyzny prowadzą zatem przez europejskie półwyspy — a więc przez Hiszpanię, Włochy, Grecyę, a w końcu także przez Małą Azyę.

Słonki dążące przez Małą Azyę do syberyjskich tundr, które są głównem miejscem gnieżdżenia się słonek, pozwalają na dokładne zbadanie swoich dróg przelotu. Z dolin nilowych albo z wybrzeży Morza czerwonego dążąc, przelatują Morze śródziemne koło brzegów Małej Azyi i zatrzymują się nad brzegami Morza czarnego, wiecznie niespokojnego, a często burzliwego. Stąd dwoma drogami dążą słonki ku północy — pierwsza, więcej uczęszczana idzie przez zachodnie wybrzeża Morza czarnego, wzdłuż nizin Dunaju i Dniestru i w końcu przez Rosyę do tundr, druga prowadzi przez Kaukaz nad niziną Wołgi, następnie przez stepy Kirgizkie, również do tundr. Rzadko tylko puszczają się słonki przez Czarne morze, które jest grobem tysięcy tych długodzióbów — te zaś, które się na tę niebezpieczną drogę puszczają, czekają długo nad wybrzeżami na dobrą sposobność — wiedzą one bowiem dobrze, jakie niebezpieczeństwo kryje się dla nich w tem ogromnym zbiorniku wody.

Podczas podróży przez kontynent europejski, zatrzymują słonki wprawdzie stały kierunek północno-wschodni, ale oczywiście zachodzą tu pewne zmiany drogi i spóźnienia pojedynczych partyi, w miarę pogody, jakości wiatrów i innych okoliczności, a między innemi właściwości okolic, przez które słonki przeciągają. I tak np. zaledwie słonki opuszczą okolice Morza czarnego, wędrują dolinami rzek od ujścia zacząwszy w górę — doliny Prutu i Dniestru mają wtedy obfitość słonek i to w górnym i dolnym biegu, doliny dolnego Donu i Dniepru w tym czasie nie mają prawie zupełnie słonek. W podobny sposób, jak we wschodniej części Europy, podróżują także słonki we wschodniej i środkowej Europie, tu jednak nie jest tak widoczny ten kierunek północno-wschodni, bo słonki przybywszy w sam środek kontynentu, rozbijają się na coraz mniejsze partye, te mniejsze partye podróżują dalej w rozmaitych kierunkach, trzymając się najchętniej biegów rzek i ich dolin. Przeciwne wiatry i mrozy powstrzymują niektóre partye i zmuszają je do zapadnięcia w takich miejscach, w których nie byłyby się nigdy zatrzymywały. Ponieważ każdy z czterech wielkich półwyspów europejskich, które stanowią punkty wyjścia dla czterech wielkich armii naszych wędrowców, ma inne warunki telluryczne i klimatyczne, a oprócz tego, bezpośredni powód do dalszej podróży jest także zależny od najrozmaitszych okoliczności, ciąg jest nierówny i niejednostajny. W ten sposób może się zdarzyć, że z Anglii nadchodzi już wiadomość o przybyciu słonek, podczas kiedy w najbardziej jako eldorado słonek znanych południowych krajach, np.: Slawonii i Kroacyi, jeszcze nic o słonkach nie słychać. Zmienna temperatura przyspiesza w jednem miejscu ciąg, w drugim go opóźnia. Dawniej przyjmowano jako rzecz pewną, że słonki wymijają w swoim ciągu najwyższe regiony górskie np. szczyty, gleczery alpejskie — tymczasem fakty, że znajdowano na wiecznych śniegach żywe lub padłe słonki w czasie ciągu, dowodzi czego innego. Podróżnicy donoszą, że słonki nawet 7.000 do 8.000 metrów wysokie szczyty himalajskie w czasie ciągu przebywają, dążąc tamtędy do północno-azyatyckich niezmierzonych stepów.

O ile i jak słonki spożytkowują wiatry przy swoich podróżach, nie jest do dziś dnia rzeczą zbadaną. Myśliwi twierdzą, że słonka ciągnie z wiatrem — dowodem ma być ten fakt, że ten miły ptak na wiosnę pojawia się na pewne z ciepłym południowym, albo południowo-zachodnim wiatrem, szczególniej, jeżeli w nocy pada lekki deszcz. Badacze lotu jednak, biorąc tę rzecz ze stanowiska czysto technicznego, mówią, że pewien opór powietrza, jest konieczny do pewnego stopnia do szybkiego posuwania się ptaka naprzód — że więc słonka potrzebuje do szybkiego przenoszenia się na północ wiatru przeciwnego, bo wiatr, wiejący jej z tyłu w pióra, tylko może jej w locie przeszkadzać. Otóż wiatry miernej siły, czy one będą wiać z północno-wschodniej, czy południowo-zachodniej strony, nie będą ciągowi przeszkadzać, podczas gdy silne wiatry i burze, z którejkolwiek będą nadchodzić strony, zmuszą słonki do przerwania podróży. W każdym razie wiatr daje impuls do ogólnego rozpoczęcia podróży z kwater zimowych i przyspiesza lub hamuje w miarę siły swojej i trwania, podróż samą, działając także niewątpliwie na kierunek drogi.

Długo sprzeczano się, czy słonki przeciągają przez rozmaite kraje Europy w wielkich lub w mniejszych partyach. I to pytanie nie jest jeszcze należycie rozstrzygnięte, bo na kontynencie nie poczyniono jeszcze dostatecznych badań w tym kierunku, a badania poczynione przez obserwatorya, urządzone przy latarniach morskich, angielskich i francuskich nie mogą dawać miary dla stosunków kontynentu.

Relacye, zbierane od lat całych w kołach myśliwskich co do ciągu wiosennego i jesiennego, co do czasu przelotu i ilości ciągnących słonek, doprowadziły do wniosków, że słonki odlatują ze swoich północnych siedzib parami, albo bardzo małemi stadkami, że zatrzymują się na wybrzeżach południowych półwyspów i wysp, i że przy sposobnym wietrze, zebrawszy się w większe partye po krótkim odpoczynku, ciągną przez morze. Jeżeli jednak na brzegach południowych krajów europejskich przez dni kilka panuje niepogoda, gromadzą się olbrzymie masy słonek w tych okolicach i niezliczonemi stadami ciągną przez morze. Często bardzo łączą się w wielkie stada słonki przybyłe z północnych krajów na wybrzeża Fryzyi i Holandyi, i wstrzymane niepogodą, zapadają jak stada gołębi, na zagony i pastwiska.

Na wiosnę pokazują się nasi wędrowcy w wielkich stadach na wybrzeżach krajów południowo-europejskich, po krótkim odpoczynku rozpoczynają już mniejszemi stadami dalszą podróż i coraz więcej się rozbijając, dążą ku północy, względnie na północny zachód.

Sądzi się ogólnie, że słonka tylko w nocy podróżuje, i to prawdopodobnie jest słusznem twierdzeniem, chociaż pasażerowie parowców obserwowali niejednokrotnie na pełnem morzu, ciągnące wśród dnia słonki. W każdym razie jednak ciąg odbywa się przeważnie w nocy — dlatego np. obserwowanie tego, w jakiej wysokości w ogóle przelot słonek się odbywa, jest rzeczą nadzwyczaj utrudnioną. Wiadomo jednak, że słonki ciągną raz wyżej, raz niżej, zdaje się więc, że korzystają z tego, w jakiej warstwie powietrznej wieje pomyślny dla ich podróży wiatr. Że ciągną nieraz bardzo nisko, dowodem to, że niekiedy zabijają się o druty telegraficzne, szczególniej w okolicach płaskich, piaszczystych i ubogich w wegetacyę. Chociaż w monarchii austro-węgierskiej gnieździ się dosyć słonek, przyjąć jednak należy za regułę, że właściwa strefa gnieżdżenia się leży o dużo wyżej i że granicę na północ stanowi 68° północnej szorokości. Stepy i bagna rosyjskie, przedgórza i stoki Uralu obierają sobie teraz liczne gromady słonek z predylekcyą na miejsce lęgu.

Wymagania, jakie ma słonka do miejsca, które so-

bie wybiera na stałą letnią siedzibę, są rozmaite i tak zmienne, że trudno tutaj mówić o jakiejś regule. Faktem jest, że im dalej na północ, tem wilgotniejszy musi być grunt, jeżeli ma się słonce nadawać — bagniste, złomami zawalone lasy, z suchemi gdzieniegdzie przestrzeniami, z wysoką warstwą humusu, suchego liścia i gnijącego drzewa, obiera słonka najchętniej na miejsca pobytu. U nas można ją znaleźć zarówno w lesie mieszanym, jak i w czystych lasach liściastych lub szpilkowych — niekiedy przenosi słonka krzaki, niekiedy nawet ogrody i parki.

W miarę pogody i temperatury, w miarę tego, czy jest mroźno, zimno lub łagodnie, odwiedzają słonki przy przelocie przez nasze lasy, rozmaite części rewirów. Podczas chłodu i mrozu znaleźć można słonki najłatwiej na słonecznych, zasłoniętych stokach południowych, podczas gdy ciepło wpędza słonki więcej w głąb lasu. Podczas ciągu wiosennego, wolą słonki wilgotniejsze, słoneczne tereny — w jesieni szukają suchych płaskowzgórzy, wysoko położonych lasów liściastych i pastwisk, krzakami porosłych.

Po przybyciu do nas na wiosnę, ciągną słonki przeważnie nawet pomimo temperatury zimnej — wtedy jednak krótko, szybko i cicho — podczas ciepła i drobnego deszczu ciągną wesoło i głośno. Nawet spokojny śnieg nie przeszkadza ciągowi.

Ponieważ słonki nigdy o jednej i tej samej porze nie nadlatują, lecz w jednym roku prędzej, w drugim później, szukano jakichś sposobów oznaczenia czasu przybycia słonek, aby choć na kilka dni naprzód można było wiedzieć, że już słonki nadciągną. Starzy myśliwi mówią, że po pojawieniu się turkawek i skowronka, należy oczekiwać słonek w przeciągu tygodnia — najpewniejszym jednak kwatermistrzem dla słonek jest drozd śpiewak, za którym w trzy lub cztery dni słonki napewne nadciągną. Prawie równocześnie ze słonką, albo najwyżej parę dni później nadciąga kopciuszek, jeżeli się więc ujrzy pierwszą taką ptaszynę na dachu stodoły — albo na murze ogrodowym, można rachować na to, że już i słonki są.

Wiele kwestyi odnoszących, się do zwyczajów słonki nie zostało jeszcze rozwiązanych wiele nowo dostrzeżonych zmian w ich zwyczajach czeka na uzasadnienie — i długo jeszcze prawdopodobnie potrwa, zanim wszystkie pytania, tyczące się tego zagadkowego ptaka, całkiem jasną znajdą odpowiedź".

Z całym szeregiem tych uwag p. Milanyego można się zupełnie zgodzić — ale najwięcej z ostatnią, a mianowicie, że bardzo wiele jeszcze pytań, tyczących się życia i zwyczajów słonki, czeka na rozwiązanie — w każdym razie faktem jest, że słonka w czasie ciągu wiosennego wiedziona chęcią założenia gniazda i wyprowadzenia potomstwa, rozlatuje się szerzej i zdąża szybciej do swoich siedzib — w jesieni, podróżując tylko dla tego, że w ojczyźnie grozi jej brak pożywienia, podróż tę odbywa spokojnie i często tak długo na jednem odpoczywa miejscu, jak długo nie ma obawy, żeby jej brakło pożywienia. Ten objaw mieliśmy w zeszłorocznej jesieni — słonki przybyły do nas wypędzone z północy wczesnem zimnem, tutaj znalazły pogodną jesień i przez długi czas nie odlatywały, owszem gromadziło się ich coraz więcej, tak, że rok zeszły w annałach myśliwych złotemi zapisał się głoskami. O takim nawale słonek pisano w tym roku tylko w Siedmiogrodzie, za to kraje zachodnio-austryackie prawie nie miały całkiem jesiennego ciągu. Skierował on się widocznie tylko na nasz szlak, co, daj św. Hubercie, aby się i w przyszłości działo. *S.*

TAVOLAZZO W PIEMONCIE

I POLOWANIE NA CIETRZEWIE W ALPACH w roku 1825.

Przez MARKIZA de FOUDRAS.

(Wolny przekład z francuskiego przez A. TYSZKIEWICZA).

(Ciąg dalszy).

Zerwawszy się dodnia na nogi, przekonałem się że bodaj jedna z obietnic Titana uskuteczniła się, gdyż wszystko zapowiadało prześliczny dzień. Gdym wyszedł za próg chaty cichutko by, mego towarzysza nie zbudzić, noc właśnie skłaniała się ku końcowi, ależ co za cudowna noc! Miała przejrzystość najpiękniejszych dni a słodycz ciepłych wieczorów. Głuchy łoskot oddalonego jakiegoś wodospadu i miły szmer pobliskiego strumyka, szemrzącego po kamykach, przerywały ciszę kompletną, poważną i melancholiczną. Wietrzyk świeży, balsamiczny, donosił zapach fiołków i dzikich tuberoz, pokrywających jesienią szczyty Alp. Na prawo odemnie wąski sierp księżyca niknął za śnieżnym szczytem, srebrząc go swym blaskiem. Na lewo grupa odwiecznych drzew szemrała cicho jak para kochanków. Wkrótce jutrzenka zaczęła zaróżowiać niebo; a po chwili olśniewające promienie słońca ozłociły szczyty i góry. W miarę przybywającego światła, ciemne dotychczas szczyty i złomy skał pokrywać się poczęły złotem i purpurą, w miarę podnoszenia się słońca, cienie zdawały się uciekać i niknąć w głębokich wąwozach i przepaściach, tu małe jeziorko stopniowo wynurzało się z pokrywającej go mgły, jak oko niebieskie z pod powoli podnoszącej się powieki, tam znowu ciemne jodły, ponure duchy w czasie nocy, odsłaniały dumne czoła i stopniowo rozświecały się aż do najmniejszych gałązek. Po za mną olbrzymie lasy wieńczyły potężne góry. U stóp gęsty dywan świeżej murawy wyścielał głęboką dolinę, przez którą wił się strumień.

Dopiero wtenczas pojąłem pozycyę chaty Titana, tak przydatną do podwójnego rzemiosła, jakiemu się oddawał. W którą stronę tylko wzrok się zapuścilo, na wszystkie strony obejmował olbrzymie przestrzenie, tak że nie ruszając się z chaty, mógł Titano przelustrować kompletnie okolicę, i mógł swych przyjaciół od niespodzianki uchronić i przestrzec sygnałami, na pozór zupełnie niewinnymi, a tem samem niezrozumiałymi zupełnie dla podejrzliwego oka straży. Z pewnością sam urozmaicałbym sobie czas wolny od polowania przemytnictwem.

Gdym się właśnie nad tem zastanawiał, ujrzałem Titana, który mi ukłon składał — nieodstępny Torquato stał przy jego nodze.

Podałem mu po przyjacielsku rękę, a psa popieściłem.

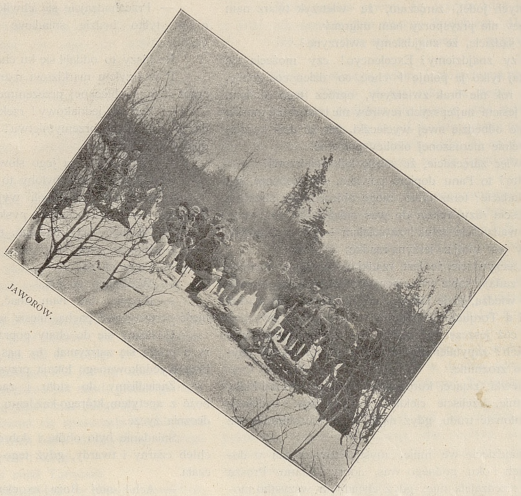
— Prawda excelencyo! co za wspaniały czas mamy dziś.



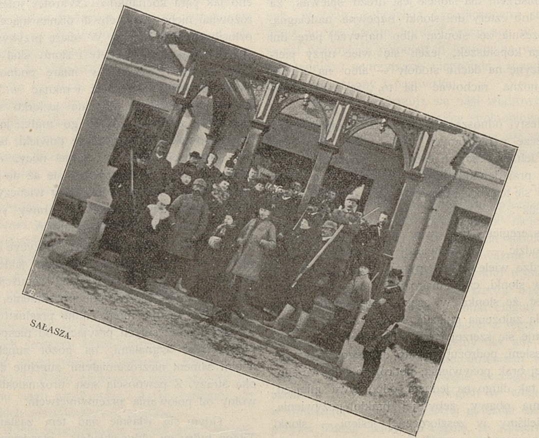
JAWORÓW.



NIEMIRÓW.



JAWORÓW.



SAŁASZA.



KRAKOWIEC.



ULICKO.

— Trochę gorący będzie dzień dziś — odrzekłem.

— W dolinie, — excelencyo, ale jak się wydrapiemy aż do tamtych jodeł, zaręczam, że wietrzyk twarz nam obwiewający nie przysporzy nam migreny.

— I sądzicie, że znajdziemy zwierzynę?

— Czy znajdziemy? Excelencyo! czy możecie się pytać. Tutaj tylko ja poluję i choć co dzień coś zabiję, przez cały rok nie brak zwierzyny, oprócz tego dodam, że każdej jesieni najlepszych rewirów nie tykam, aż markiz de Nora nie odbędzie swej wycieczki, tak, że dziś będziemy w zupełnie nieruszonej okolicy polować.

— Więc zaręczacie, że zabiję kilka cietrzewi?

— Hm? to Panu dopiero powiem, gdy zobaczę, jak strzelbą władacie; teraz tylko mogę obiecać, że strzelicie ze dwadzieścia razy, reszta do was należy.

— Dwadzieścia sztuk! zawołałem — przecież mówią, że cietrzew jest tutaj zwierzyną rzadką.

— Rzeczywiście, że jest rzadkim, ale dla leniuchów, którzy nie zadają sobie trudu poszukać ich albo dla głupców którzy nie wiedzą, gdzie ich szukać, ale stary Titano ma dobre nogi a Torquato świetny wiatr.

— I cóż jeszcze znajdziemy za zwierzynę w waszych górach? zapytałem z ciekawością, którą każdy myśliwy łatwo zrozumie.

— Siewki, zające, kuropatwy szare, czerwone i białe, ale te ostatnie, jeżeliście ciekawi je zobaczyć, będziecie musieli pożałować trudu, gdyż nigdy niżej nie schodzą niż śniegi.

— Znajdziecie we mnie, myślę, towarzysza o dobrych nogach i oku, godnego was, dobry Titano. Proszę was nie oszczędzajcie mię, gdyż chciałbym wszystko możliwe widzieć i polować na wszystko — gdybyście przypadkiem dali zabić koziorożca, dałbym z chęcią dwa ludwiki, ale to niemożliwe, prawda?

— Ba! kto wie, excelencyo? Myśliwy, tak jak żołnierz, powinien słowo „niemożliwe“ wykreślić ze swego słownika, co zaś do dwu ludwików, to excelencya będzie łaskaw je schować na inny użytek. Titano nigdy przyjemności nie sprzedawał, i nie rozpocznie z pewnością od przyjaciela markiza de Nory.

— Czy daleko stąd zaczniemy polować? zapytałem ściskając rękę poczciwego, delikatnego Titana.

— Czy widzicie tam te trzy duże jodły?

— Na skłonie tej szarej góry?

— Właśnie. Jak tam się znajdziemy trzeba będzie kurki odwieść, gdyż zaraz będziemy zmuszeni używać broni.

— Ależ nie widzę tam żadnych krzaków ani gąszczy, gdzież do dyabla zwierzyna ma się chować?

— Nie widzicie gąszczu, excelencyo, a przecież jest tam taki, że będziecie w pocie czoła nogi wyciągać. To co wam się ztąd szarem wydaje, jest ciemno zielone, cała góra jest pokryta małym ciernistem krzakiem nerprun, którego jagody żarłocznie zjadają cietrzewie, ale możliwe, że wasze psy nie zechcą tam wejść. No, to Torquato będzie pełnił służbę dla wszystkich. Prawda mój stary, zwrócił się kłusownik do psa swego, kładąc mu kościstą swą rękę na głowie — prawda, że dobrze będziesz pracował dzisiaj?

W tej chwili połączył się z nami markiz i jak wszyscy ludzie spóźnieni, zapytał, dlaczego nie ruszamy i dlaczego śniadania jeszcze nie ma.

— Excelencyo, będzie za pięć minut — odpowiedział Titano, ale widząc was tak dobrze śpiących nie chciałem hałasować, by was nie zbudzić.

— Przechadzajcie się chwilę dla zaostrzenia apetytu, a jak tylko będzie śniadanie gotowe, przyślę służącego.

Rzekłszy to oddalił się ku chacie wraz ze swym psem.

Powtórzyłem markizowi rozmowę naszą i odrzucenie przez Titana obiecanej przezemnie nagrody.

— Zawsze jednakowy! rzekł markiz — Co za szkoda, że się oddaje przemytnictwu! ale obiecał mi, że po dniu dzisiejszym...

— I ty liczysz na jego słowo?

— Gdyby złamał, byłoby to pierwszy raz w życiu.

Ujrzeliśmy w tej chwili wypadającego w lansadach Torquata i potrząsającego w pysku czemś białem.

— Chodźmy na śniadanie, rzekł Stefano, już podane.

— Zkądże wiesz?

— Patrz na psa.

— Widziałem go już.

— Biegnie dać nam znać, a ponieważ nie może nieść serwety pod pachą, niesie ją więc w zębach.

Udaliśmy się do chaty poprzedzani przez psa, który u progu się zatrzymał, by nas przepuścić, jak na dobrze wyedukowanego lokaja przystało.

Zasiedliśmy do stołu i zaczęliśmy spożywać dary boże z apetytem, którego każdemu z mych czytelników serdecznie życzę.

Śniadanie było obfite i dobre, wino doskonałe, tylko chleb czarny i twardy, gdyż tego kontrabanda nie dostarczała.

— Ach! mój Boże! excelencyo, zapomniałem na śmierć o kawiorze! zawołał Titano, — jestem pewny, że przybył, ale to w kilka minut naprawię.

Zrozumiałem, że zoczę coś nowego, odłożyłem więc widelec, by z większą uwagą móc przebieg wydarzeń obserwować.

Titano otworzył kredens i wyjął beczułeczkę podłużną, pustą, dał ją psu obwąchać, baryłkę złożył w kredensie i usiadł na swem miejscu a psu wskazał drzwi.

Nieobecność psa trwała dziesięć minut, byłem przekonany, że go zobaczymy z baryłką w pysku.

Wrócił, lecz nic nie przyniósł.

Titano przemówił do niego kilka słów w swem narzeczu.

Pies położył się na podłodze i udał, że śpi.

Stary kłusownik się zerwał i nam to samo gestem kazał zrobić. Zwrócił się do jednego kąta chałupy i przystąpiwszy do ściany, pchnął kawałek drzewa wielkości zwyczajnej zasuwki.

Ujrzałem wtedy otwór wielkości karty wizytowej.

Titano przyłożył oko i odjąwszy po chwili, odstąpił mówiąc:

— Przystąpcie, excelencyo i patrzcie prosto przed siebie.

— Jestem.

— Co widzicie excelencyo?

— Góry i góry i jeszcze raz góry.

— Nie tak daleko patrzcie się.

— Ach! widzę kobietę opartą o szarą skałę i przędzącą, dwie kozy się pasą koło niej.

— Otóż to.

— Ależ to nic ciekawego, kobieta jest starą a kozy czuchrate i chude.

— Za tą skałą jest schowek, w którym się znajduje kawior.

— Więc dla czego go nie przyniósł?

— Bo ta stara jest postawioną na straży przez strażników i pies to przewąchał, dla tego nie przyniósł kawioru.

— To niemożebne! zawołałem.

— Ach, chcecie dowodu? Zaraz, to nie będzie długo trwało.

— Czy chcę! ależ bez wątpienia... Cóż mam robić?

— Zostańcie tam gdzie jesteście i patrzcie się, co stara będzie robić!

Przyłożyłem oko do otworu a Titano powiedział kilka słów w narzeczu do psa, ten pobiegł lecz szczekając tym razem.

Za drugim szczeknięciem, ujrzałem jak stara baba żywo zwróciła głowę w stronę naszej chaty, na którą poprzednio nie zdawała się zwracać uwagi, potem opuściła swe miejsce i pędząc przed sobą kozy poszła ścieżką ku nam.

Titano zawołał mnie do progu, gdym tylko tam przybył, baba wraz z kozami o 10 kroków od chaty spuszczała się ścieżką wiodącą na dół w dolinę.

Torquato ciągle szczekając, był już na dole i biegał tam ujadając na lewo i na prawo jak młody piesek goniący za skowronkami, które się przed nim porywały.

Ponieważ ścieżka stromo się spuszczała niedaleko od chaty, wkrótce też znikła nam baba strumykiem, którego brzegi gęsto obrastały topole i olchy.

Poza temi drzewami znikł Torquato.

— Otóż sprawa załatwiona w trzech czwartych, excelencyo, wracajcie do okienka, a zobaczycie wkrótce kogoś ze znajomych.

Wróciłem więc do otworu i przyłożyłem oko patrząc ku szarej skale. W dwie minut potem, zobaczyłem Torquata pędem idącego do szarej skały.

— Otóż on! otóż on! zawołałem do Titana.

— Nie traćcie go z oczu, excelencyo, i mówcie, co widzicie.

— Nie widzę go teraz... znikł za skałą... Ach! znowu go widzę, wraca do nas! Na honor, niesie baryłeczkę zupełnie podobną do tej, którąście mu pokazywali!

— To kawior pana markiza! zawołał Titano, cieszę z wiadomości, którąście mi udzielili. Byłem pewny tego! O! głupcy, jesteście chytrzy, ale Torquato, który tylko jest bydlęciem, jest sto razy od was sprytniejszym.

W tej chwili pies wrócił i złożył z ukontentowaniem u stóp swego pana baryłeczkę.

— To cudowne! niezrozumiałe! wykrzyknąłem. Ależ jak do djabła on to zrobił!

— Tak, jakeście mogli zauważyć, excelencyo, odpowiedział stary. Gdy pierwszy raz Torquato wyszedł, zoczył starą czarownicę, zwietrzywszy ją zaś doniósł, że go szpiegują, wtedy posłałem go w dół, pewny że baba pójdzie za nim. Gdy więc pies sądził, że już się dobrze spuściła na ścieżce w dolinę, wtedy poza drzewami pobiegł cicho do wąwozu znajdującego się 400 kroków dalej, i dobiegł do skały tamtą drogą. Założyłbym się, że stara jeszcze go tam szuka. Patrzcie, excelencyo, widzicie ją o tam na dole w krzakach ze swemi kozami? Najlepsze z tego wszystkiego, że zaraportuje, iż mój schowek znajduje się nad rzeką, i będą tam z tydzień szukać.

I Titano zaczął się śmiać głośno, otwierając beczułkę kawioru i wskazując w dolinie babę, która już bez ostrożności żadnych przeszukiwała krzaki — i ciągnął dalej.

— Teraz jestem pewny, że wyprowadzę Volentiego w pole, jak oszukiwałem starego Broschiego. Ale...

— Ale... ty wiesz, coś mi obiecał — przerwał markiz...

— Tak, excelencyo, wiem, i możecie na moje słowo liczyć, odrzekł Titano kładąc rękę na sercu. Tak jak wczoraj mówiłem, podjąłem się jeszcze dziś wieczór pomóc przemytnikom, ale to już będzie ostatni raz, a jutro dam im znać do Pignerol, że nie mają co na mnie liczyć więcej. Macie racyę, excelencyo, to nie rzemiosło dla starego żołnierza.

— Gdybym ci śmiał dać radę poczciwy stary, rzekłem z kolei, radziłbym się strzec puszczyka; zdało mi się, że brygadyer więcej mu się przysłuchiwał niż było potrzeba.

— Widziałem toż samo excelencyo, ale bądźcie spokojni, my nigdy dwa razy z rzędu tego samego ptaka nie udajemy i Torquato zna się na wszystkich możliwych głosach. Mój biedny psie, jakżeż ty się podczas długich wieczorów zimowych nudzić będziesz! dodał z westchnieniem Titano.

W kilka minut potem wstaliśmy od stołu, a kwadrans nie minął, jak już byliśmy w drodze, uzbrojeni i poprzedzeni przez nasze psy, z któremi Torquato w najlepszej był komitywie.

Mieliśmy z dobre ćwierć mili do miejsca, gdzie się polowanie zacząć miało, droga nam szybko zeszła przy opowiadaniach Titana; godny kłusownik był gadułą, lecz nie nudnym.

Podczas drogi miałem czas i sposobność dobrze zlustrować naszego przewodnika i znalazłem, iż rzadko się widuje tak oryginalną postać — bardzo wysoki, jego chudość, zwinność wydały mi się jeszcze większe niż wczoraj, choć szedł zdawało się powoli, musieliśmy dobrze nogi naciągać, by mu dorównać, tak olbrzymie stawiał kroki. Ubranie też miał oryginalne, kamasze, spodnie, kamizelka, tworzyły jedną całość, z grubego sukna, koloru ziemi. Ładownica dość duża, by móc służyć do wykradzenia piętnastoletniej panny, zwieszała się z lewego boku, na prawym ramieniu niósł sławną strzelbę mantyjską, którą otrzymał w prezencie od markiza Nory.

Broń to była rzeczywiście wspaniała, ale też nikt oprócz Titana nie byłby umiał się nią posługiwać. Lufa długości 42 cali, była 6-go kalibru i ciężką odpowiednio. Nie byłem w stanie złożyć się z tej kolubryny, tak by coś na muszkę wziąść.

Nareszcie przybyliśmy do trzech jodeł, nasze psy kierowane przez Torquata już szukały od kilku minut. Tuż za jodłami zaczynał się rodzaj gąszczu nie wyższy nad 2 do 3 stóp, lecz tak zwarty i kolczasty, że każdy więcej delikatny pies za nic nie byłby tam poszedł. Mój Soliman na moją zachętę spróbował rozsunąć gałęzie nosem, po kilku daremnych usiłowaniach powziął heroiczną decyzyę i skoczył w krzaki i choć bez skowytu się nie obeszło, przecież pasya myśliwska przemogła.

Zrozumiałem, wszedłszy w gąszcze, dlaczego skowyczał, gdyż przez kamasz i spodnie tysiące kolców dobrze mi się dało we znaki — na lewo szedł markiz, na prawo Titano, a przedemną ujrzałem w oddali Torquata, który w tem ciernisku tak chodził, jakby to była lucerna.

— I cóż, excelencyo, czy dosyć ma zwierzyna schowania? zapytał Titano, nawiązując do naszej rannej rozmowy.

— Myślę że jeśli tu co jest, to ładną będzie miało trudność zerwać się, myślę, że prochu nie zużyjemy w tym snopie cierni.

— Tymczasem, excelencyo, proszę uważać, bo Torquato stanął...

— Och! nie macie się czego spieszyć — on wytrzyma.

Doszedłem na dziesięć kroków do Torquata i z przyjemnością ujrzałem mego Solimana, który niedaleko Torquata też stał, mogłem dokładnie obserwować parę rasowych psów, gdyż na małej halawce się znajdowały. Torquato, któremu zwierzyna zrobiła niespodziankę, lekko przysiadł na nogach, z głową do góry, szyją wyciągniętą, oko gorejące, ogon łukiem podniesiony, zdał mi się cały tak nieruchomym, jakby z bronzu był odlanym.

Soliman, który tylko na słowo, jak to mówią, stanął, urządził się wygodniej, wyciągnięty na brzuchu, pysk na przednich łapach, zdawałby się pogrążony w śnie, gdyby nie iskry żółtych oczu jego i drżenie różowego nosa, którym starał się zbadać wiatr nieznanego mu zwierza.

Titano złączył się ze mną i dał znak, pies jego wyciągnął jeszcze szyję i zawrócił głowę od prawej ku lewej, robiąc nią przytem lekkie, lecz wyraźne ruchy.

— To cietrzewie, szepnął Titano — jest ich siedem, Torquato je porachował.

Nie miałem czasu żądać wyjaśnienia tego powiedzenia, gdyż w tej chwili zerwało się ciężko pomiędzy oboma psami rzeczywiście siedm cietrzewi. Przyznam się, że na chybił trafił strzeliłem dwa razy, i z radością zobaczyłem spadające dwa koguty, starego i młodego.

— Brawo! excelencyo! krzyknął Titano.

I w tej chwili rozległ się podwójny grzmot śmigownicy jego, lecz z przerwą kilkusekundową. Na pierwszy strzał obróciwszy się zabił kurę, drugim zabił na duży dystans dwie sztuk, które się w locie skrzyżowały.

Jeden z dwóch pozostałych przeleciał na strzał markizowi i podzielił los pięciu towarzyszy.

Podczas nabijania broni, zapytałem starego kłusownika, czy to wypadek, że zapowiedział siedem cietrzewi, gdy psy stały.

— Nie, excelencyo, to już taki zwyczaj Torquata, gdy ptactwo dobrze dotrzymuje, że głową rusza na każdą sztukę, jakby rachował i raz na dziesięć razy tylko się myli.

— To nie do uwierzenia — odpowiedziałem, — ależ, gdzież to wasz pies?

— Szuka kury, zdaje się, że tylko postrzelona, ale idźmy dalej, on nas znajdzie.

Zrobiliśmy ze sto kroków, poprzedzeni przez Solimana, który szukał przed nami, mimo, że cały był pokryty różowemi plamkami krwi, z ranek spowodowanych cierniami.

— A oto i wasz pies, rzekłem do Titana ujrzawszy Torquata, nieruchomego poza dużym krzakiem jałowca.

— Musi stać, ponieważ go nie ma przedemną — odpowiedział stary kłusownik.

— To niemożliwe — odrzekłem, trzyma waszą kurę w pysku i wygląda, jakby słuchał, czy go nie wołacie.

— Torquato słuchać ma! Torquato ma myśleć, że go wołam! Excelencyo to nie możebne i ja twierdzę, że musi stać.

Obszedłem jałowiec i rzeczywiście pies stał we wspaniałej pozie.

— Macie racyę, krzyknąłem do Titana.

I rzeczywiście w tej chwili zerwało się parę siewek, alem się nie złożył nawet, tak mi się daleko wydało.

— O czem myślicie excelencyo?

— To za daleko.

— Ba! mruknął Titano, składając się.

Dwa strzały padły i dwie siewki też, formalnie obsypane śrótami. Porachowałem kroki, było 127.

Torquato spokojnie po strzałach przyniósł kurę i złożywszy ją poszedł zaaportować siewki. Cztery godziny polowaliśmy w opisanym tu gąszczu i gdyśmy się zeszli, mieliśmy 33 sztuk zabitych, a to: 15 cietrzewi, 3 siewki i 10 kuropatw czerwonych.

Titano jako gospodarz, pozwolił mi być królem polowania, co do mnie miałem 14 sztuk i Soliman mój okazał się godnym Torquata.

— Teraz jest prawie jedynasta — rzekł nam Titano, odpocznijcie excelencye do dwunastej — a ja tymczasem pójdę do siebie i zaniosę zwierzynę, która by nam w dalszem polowaniu przeszkadzała, a za mym powrotem popolujemy dalej.

— Czyż nie lepiej nie zadawać sobie tyle trudu, rzekłem Titanowi, schować zwierzynę tutaj gdzie w krzaku, a z powrotem do domu ją zabrać.

— Muszę być w domu, odpowiedział stary, a ponieważ dobrze jest byście odpoczęli, ja tymczasem skorzystam i załatwię me interesa. Za godzinę najdalej będę z powrotem.

(D. c. n.)

Korespondencye.

Niemirów w kwietniu.

W tym sezonie Jaworów w przeciągu czterech tygodni okazał nam się w dwojakiej szacie. Najpierw w grudniu, pogoda wiosenna, ciepło, cicho, słońce uśmiechnięte tak nam się przypatrywało bezustanku, sarnom, gdy przystawały na chwilę, z gorąca i zmęczenia para z nozdrzy wznosiła się słupem do góry, brak spotkania można było sobie wynadgrodzić rozkoszowaniem się piękną przyrodą lasu — a przy spotkaniu humory tem były weselsze. Zwierzyna stosowała się naturalnie też do pogody. Zające siedziały jeszcze „na wsi“, po polach, spotykaliśmy ich bardzo mało, kozły liczne tylko po miotach słonecznych w ciemniach i gąszczach nieobecne, lisy natomiast spacerowały z lubością wygrzewając futerka, których też natraciły niemało, jak na tę knieję. Dziki spotkaliśmy dopiero drugiego dnia popołudniu i podobno było ich dużo, na rozkładzie znalazł się tylko jeden i to komisya sędziowska miała ciężkie zadanie, zanim kulę śmiertelną przyznała panu M. W. bohaterowi również wielkiej kwestyi dziczej zeszłorocznego polowania. Rezultat więc był: 1 dzik, 1 cietrzew, 11 lisów, 11 rogaczy i 12 zajęcy na 119 strzałów. Jako osobliwość wspomnę, że miot brany przed godziną zaledwie, a pędzony powtórnie w poszukiwaniu za postrzelonym dzikiem, dostarczył owego dzika, a prócz tego 1 zająca i 3 lisy. Poco one tam przyszły?

W miesiąc później, w styczniu dekoracya na biało. W drodze na punkt zborny nadzieja coraz to obszerniejsze przybiera rozmiary. Rozstawiając na pierwszy miot, łowczy nam mówi: „dziki pewne i wyjść muszą„". I wyszły — przebiwszy się przez wrogie pociski. Jeden tylko zawadził o niechybną kulę pana K. W. (zwyż stu kroków — z ekspressa) i położył się zaraz na miękkiem posłaniu. Wogóle strzelanina o wiele żwawsza, tęgie ztąd miny myśliwych i okrutne apetyty do bigosu i kiełbasek wędzonych w dymie ogniska — co stwierdzić proszę na załączonych fotografiach. Na rozkładzie: 1 dzik, 1 jarząbek, 1 cietrzew, 1 jastrząb, 4 lisy, 16 rogaczy i 31 zajęcy.

W drugiej połowie stycznia niesnaski jakieś dziać się musiały w parlamentach niebieskich, a ród śmiertelnych łykał całą kurzawę tych bójek w postaci tumanów śniegu, które zwłaszcza myśliwym dobrze się dały we znaki. I tak było w Ulicku, u państwa A. Skibniewskich, gdzie zawierzucha przez cały pierwszy dzień nam dokuczała, psując to tak zawsze ładne polowanie. To też z całego rozkładu (6 kozłów, 24 zajęcy) jeden tylko rogacz ofiarny skazanym został na pozowanie mi jeszcze po zgonie. Podobnie się działo w Krakowcu. 28. stycznia słyszeliśmy grzmoty, a potem deszcz, słońce i śnieg naprzemiany prażyły nas bez przerwy. I rzecz dziwna, im gorszą była aura, im bardziej zaśnieżeni, przemoczeni myśliwi, tem większa ich się ochota czepiała do figlów. Młody dowódca, hr. A. Łubieński, zastępujący chorego ojca, musiał demaskować dziwne metamorfozy kozłów na kozy i... (chciałem powiedzieć: vice versa, ale tak dalece znów nie zapominaliśmy się), rozstrzygać zacięte spory o zdechłego znalezionego lisa, lub o strzały do dawno zabitych zajęcy — a zanosiło się na gorsze jeszcze spiski — które ostatecznie udaremnił tem, że coraz więcej naprowadzając zwierzyny, nie dał nam już wreszcie czasu na allotria. Rezultat był już w „Lowcu" podany, zamieszczam więc tylko *ad oculos* końcowy epizod z parku.

Ostatnie polowanie 31. stycznia u p. Kaplińskiego w Sałaszach, było już w pełnej porze karnawałowej, co się odbiło na typie całego dnia. Od samego rana muzyka stroiła instrumenty, z powozów pań więcej wysiadało niż panów, na linii zaroiło się od barwnych parasolek, zarzutek i szalików, wesołe rozmowy ucichały na chwilę zaledwo, gdy od jakiego samotnego sąsiada strzał huknął znienacka — a gdy po bajecznem śniadaniu we dworze wśród lasów, wyjeżdżałem z żalem prawdziwym do jakiegoś obowiązkowego zajęcia, przez uchylone drzwi dochodziły mię tony walca z salonu i widziałem kolegów w Hubercie suwających filcowymi butami po śliskiej posadzce. W jakiś czas potem, spotykam jednego z współuczestników i pytam: „jak się polowanie do końca powiodło?"

„Znakomicie — powiada — panie się dały uprosić i zostały na obiad, a potem tańczyliśmy do rana".

„No — ale co padło?"

„A...a... cośmy zabili, pan pyta... zdaje mi się 4 kozły i 12 zajęcy... ale może i coś więcej jeszcze".

Nie mogłem się dokładniej dowiedzieć, z całem więc zastrzeżeniem relata refero, fotografia zaś pokazuje tylko „wyjazd na łowy".

W lutym miałem sposobność polować w Hrubieszowskiem, (Królestwo Polskie), z psami na dziki — nie przyszedłem do strzału, wystarczyć mi musiała emocya, gdy wieńcem psów otoczony, szedł na mnie gąszczem odyniec z ogromnym trzaskiem gałęzi i wśród ujadania coraz to głośniejszego — lecz nim go dojrzeć mogłem, zawrócił. Cała jednak scenerya takiego polowania, od wyjazdu z niesforną zgrają kundysów, pozbieranych zewsząd do pomocy kilku doświadczonym, i żrących się ustawicznie między sobą — aż do powrotu, gdy te same psy zziajane po całodziennej robocie, leżą dokoła uśmierconego wroga, liżąc farbę jego, niepomne własnych ran i towarzyszy zostawionych w lesie, jest tak oryginalna i trącąca myszką dawnych wypraw łowieckich, że tylko prosić trzeba myśliwych, którzy odbywają jeszcze takie polowania, lub mają je w zapasie swych wspomnień, by jaknajwięcej o nich opowiadać zechcieli.

Z całej mozajki wrażeń, tak miłych do zapamiętania, wyłania się dla mnie gorące pragnienie, by tylko i nadal szanowni gospodarze wspomnianych tu łowów nie odwrócili odemnie łaskawej pamięci i pozwolili znów kiedyś zaczerpać u siebie tematu do nowych obrazków.

Jako komentarz do ostatniej wreszcie fotografii, dodaję że u niżej podpisanego na dwudniowem polowaniu w styczniu br. w 14 i 12 strzelb na strzałów 250 padły: dzik 1, lis 1, rogaczy 12, zajęcy 73, sowa i jastrząb.

Krusenstern.

Bursztyn 15. kwietnia 1901.

W *Łowcu* z 1. kwietnia 1901 pojawiły się liczne korespondencye o ciągu słonek, między innemi donoszą, że już 14. marca widziano pierwszą słonkę. W tutejszej okolicy pojawiły się słonki w drugiej połowie marca, pierwszą zaś słonkę widzianą zastrzeliłem 31. marca. Następnie jedną 1. kwietnia i znów jedną 2. kwietnia, wszystkie na ciągu.

W ogóle w tym roku ciąg słonek nieszczególny, powietrze co chwila zmienne, przeważnie zimno, nie odpowiada intencyom długodzióbych wędrowców. Nadzieje, jakie pokładano w tem, że tak wczesne słonki należy uważać jako pierwsze forpoczty i że później większe partye nadciągną — nie ziściły się i słonek więcej nie było.

Nie zaliczam się wprawdzie do myśliwych którzy mając wiele czasu wolnego mogą się oddawać w pełni temu przyjemnemu sportowi i korzystam li tylko z wolnych od zajęcia chwil, dlatego też i w tym roku polowałem na słonki tylko kilka razy, przeważnie na ciągu. Ogólnem zdaniem myśliwych jest, że słonki w piękne, ciepłe i spokojne wieczory ciągną więcej, w zimna zaś i wichry mniej i nawet bardzo krótko. O tem i sam przez wiele lat dość często miałem sposobność przekonać się, w tym roku jednak zauważyłem niezwykły objaw. Przez trzy wieczory zimne słyszałem kilka słonek, jednego wieczoru znów, gdy było pięknie i ciepło, nie ciągnęła ani jedna, sądziłem więc, że słonki już nas pożegnały. Następnego dnia było znów zimno i silny wicher, prawie burza, tak, że już zrezygnowałem z przyjemności i na ciągu nie byłem, dowiedziałem się jednak na drugi dzień, że właśnie słonek na ciągu widziano i słyszano bardzo wiele. Szczególny to ptak ta nasza słonka! Nie zaliczam się do młodych i początkujących myśliwych, dźwigam już na barkach piąty krzyżyk, a polując prawie od dziecka, miałem sposobność przez szereg lat przekonać się i poznać naturę tego ptaka. Przyznać się tu muszę, że jeżeli co, to słonkę studyowałem zawsze z wielkiem zajęciem i zamiłowaniem, a pomimo tego nic stanowczego o słonce nie mogę orzec. Ileż to razy trafiało się na wiosnę lub w jesieni, że wy-

brawszy się z psem na buszówkę z nadzieją pomyślnych rezultatów, pan i pies pomęczeni i zdegustowani wracaliśmy do domu z niczem? Słonek nie było.

Dawnemi latami opowiadali mi znów znajomi myśliwi, (jedni jeszcze żyją jako starzy weterani i polują, inni znów już dawno na tamtym świecie, wedle słów „z gawęd myśliwskich“ hr. Starzyńskiego, kompetują tam o stypendyum św. Huberta“), że trafiały się tak obfite ciągi słonek, iż wyszedłszy do lasu wracali z pospiechem po świeże zapasy ładunków, wysyłając równocześnie konnych posłańców z listami do znajomych myśliwych, by z pełną amunicyi torbą stawili się do apelu! Wierni towarzysze przybyli, lecz tych słonek na drugi dzień już nie zastali — odciągnęły.

Jak z ust wielu i bardzo poważnych myśliwych słyszałem, a jestem również tego samego zdania, że ze wszystkich polowań na ptactwo, najpiękniejszem jest polowanie na słonki.

Głuszca, cietrzewia masz na pewne na tokowisku, dubelta, kszyka, kaczkę etc. na dobrze znanych błotach, jeziorach, stawach; lecz słonkę ręczę, że nie zawsze tam, gdzie jej się napewne spodziewasz. Trudność w wyszukaniu tego ptaka, również trudny strzał, zwłaszcza w gąszczach przed psem, który stojąc wyprężony wskazuje ci niejako tę słonkę. Lecz jeszcze pytanie, czy w ogóle przyjdziesz między drzewami do strzału? Lub wreszcie czy i nie spudłujesz, bo i to się często trafia. A gdy ci się w końcu udało ubić szczęśliwie kilka sztuk, z jakim tryumfem powracasz do domu, nie czując bynajmniej znużenia! Nawet twój pies, ten wierny i nieodstępny twój towarzysz okazuje ci swoje zadowolenie. Kroczy dumny naprzód i co chwila wraca do nogi, aby się przekonać, czy rezultat jego zasług jest rzeczywiście przy torbie! W tem właśnie leży cały urok tego polowania.

A więc powtarzam jeszcze raz: „nie ma jak polowanie na słonki“.

M. M.

Lwów, 15. kwietnia 1901.

Przyczynek do charakterystyki wrony.

Przed kilku dniami obserwowano na stacyi kolejowej w Mszanie niezwykłe widowisko. Na jednem z drzew ogródka stacyjnego zagnieździła się para srok. Właśnie samiczka siedziała na gnieździe a samczyk wesoło skrzecząc przeskakiwał z gałęzi na gałąź, urozmaicając samiczce ożywioną gwarą, żmudną czynność wysiadywania jaj.

Wtem — niespodziewane intermezzo wśród sielanki! Na widowni zjawia się wrona i atakuje samiczkę na gnieździe, spędza ją i mimo energicznego protestu ze strony pary małżeńskiej, wypija jaja w gnieździe.

Otóż obrazek z rozbójniczego żywota wrony.

Można sobie wyobrazić, ile gniazd kuropatw i innych mniejszych ptasząt zniszczy taka wrona, która się nawet ośmiela napadać gniazda pokrewnego sobie rabusia, byle zadość uczynić swoim smakoszowskim zachciankom.

Sądzę, że zbytecznem by było rozwodzić się szerzej nad kwestyą szkodliwości wrony, gdyż ta jest dowiedzioną, pomimo, iż często się spotyka myśliwych twierdzących, że szkoda ładunku dla ubicia wrony.

W zachodnich krajach, gdzie łowiectwo uprawiają poważnie i z należytą energią, tępione są kruki, wrony, gawrony, sroki, kraski i sojki wszelkimi sposobami i to przez wybieranie i zestrzeliwanie gniazd w porze lęgowej, strzelanie przy puhaczu a wreszcie trucie.

Ostatni sposób, jakkolwiek najmniej szlachetny, najlepsze daje wyniki, wymaga jednakże przezorności, by nie spowodował przykrych wypadków.

Mogłoby się zdarzyć naprzykład, że jakiś biedaczysko zgłodniały zjadłby wronę zatrutą strychniną i naturalnie sam by się otruł. Używanie w tym celu ciasta fosforowego ma być o tyle lepsze, że fosfor łącząc się w organiźmie z krwią, traci swą własność trującą a nadto działa powolniej, więc wrona zjadłszy trutkę ma czas odlecieć daleko i objawami otrucia nie odstraszą czujnych i podejrzliwych towarzyszek od przyjęcia trutek. Obecnie jest na czasie niszczenie gniazd, gdyż mamy właśnie porę parzenia i lęgu.

Naturalnie, że taka akcya musi być ogólną, przez wszystkich interesowanych myśliwych prowadzoną, ażeby miała skutek pożądany. Wartoby spróbować, czy jaj wronich nie dałoby się wprowadzić na targ równorzędnie z czajczemi a wtenczas miałoby się zysk podwójny.

Przy tej sposobności pozwolę sobie zwrócić uwagę na tę okoliczność, że gawrony gnieżdżą się we Lwowie, jakby w lesie. Naprzeciw namiestnictwa na ogromnej srebrnej topoli ścielą sobie gniazda i chrapliwem krakaniem chwalą sobie względnych Lwowian, również w ogrodzie realności pod Nr. 21. Łyczakowska, jakoteż w ogrodzie arcybiskupstwa łacińskiego i poza cerkwią prawosławną widziałem gnieżdżące się gawrony, co wszystko nie przyczyni się do nadmiernej rozmnoży spiewaków ogrodowych w naszem mieście.

M. R.

Kraków, 15. kwietnia 1901.

Sprawozdanie krakowskiej spółki myśliwskiej „Wisła“ za czas od 1. lutego 1900 do 31. stycznia 1901:

(Liczby w nawiasie oznaczają ilość ubitej zwierzyny w zeszłym roku). Zajęcy 195 (248), bażantów 13 (4), kuropatw 327 (258), kaczek 74 (28), przepiórek 67 (8), ptactwa błotnego 28 (75), gęsi 1 (—), razem sztuk 705 (621). Szkodników: lisów 18 (6) kotów 30 (45), psów 16 (25), łasek 19 (44), tchórzów 2 (—), jastrzębi i sów 12 (17), bocianów 1 (—), wron i srok 33 (48), razem sztuk 131 (192), wszystkiego razem 836 (813). Najgorsze polowanie co do liczby ubitej zwierzyny było: 4 zające i 4 bażanty, najlepsze 60 zajęcy (92). Stan zajęcy był zły, tak jak prawie wszędzie, to też pewną część terenu zostawiono nieopolowaną. Kuropatwy dobrze się udały, toż samo i bażanty, których dużo pozostało do rozmnoży. Przeważna część lisów padła przy kopaniu jam i od strzałów nadzorców. Teren nasz powiększyliśmy o 3000 morgów w dwóch kompleksach, płacąc na licytacyi zań przeszło 630 koron. Prawie wszystkie nowo zalicytowane polowania w starostwach podgórskim i krakowskim uzyskały podobne ceny tj. przeszło 20 halerzy z morga. Jeden z naszych terenów kosztuje nas nawet przeszło 30 halerzy z morga. Wydatki roczne wynosiły w tymże czasie kor. 2611, z czego skorzystała ludność miejscowa:

za czynsze . .	kor.	1.196
pensye i strzałowe .	„	437
koszta nagonki, podwód i inne . .	„	454
razem kor. .		2.087

Henryk Szarski.

Grojec, 18. kwietnia 1901.

Jakkolwiek nadzwyczaj łagodne słoneczne dni lutego rokowały nam wczesną ciepłą wiosnę, a tem samem rosła nadzieja w sercu myśliwego, że w roku przeszłym wypadkami klimatycznemi zdziesiątkowany zwierzostan, szczególniej zająca, przecież się przynajmniej do normalnej wysokości podniesie, to przedwczesne nadzieje musiały przecież rychło ustąpić gorzkiemu rozczarowaniu i zwątpieniu, gdy nastał marzec, ten zwiastun kalendarzowej wiosny, z swemi śnieżycami i mrozami, które szczególniej w drugiej połowie do 20 stopni C. dochodziły, a grube warstwy śniegu (do 15 ctm.) pokryły na nowo nasze już zieleniejące się łany, i zaledwie po kilkunastu dniach ustąpiły promieniom wiosennego słońca. Tak więc znikły przedwczesne nadzieje utrzymania przy życiu zajęcy miotu marcowego, tych tak słusznie przez myśliwego lubionych marczaków, dających mu jeszcze w tym samym roku drugi pomiot. To też nie udało mi się mimo ponowy widzieć marczaków lub ich tropów. Natomiast w skutek nadzwyczaj łagodnego grudnia i stycznia parkanie zajęcy zaczęło się bardzo wcześnie, bo już w dwóch powyższych miesiącach, w pierwszych dniach kwietnia widziałem bowiem już młode zające, wielkości dobrego królika dzikiego a zatem, co najmniej półtora do dwóchmiesięczne. Widocznie pomiecione z początkiem lutego, przez matkę, której paszy na odkrytych oziminach, a tem samem i pokarmu nie brakło, silnie odżywiane, tak szybko się rozwinęły, że pod ochroną krzaków i młodników, udało im się szczęśliwie przetrzymać marcowe mrozy i zamiecie. Ta więc generacya jak i obsada, w roku zeszłym przez oględnego myśliwego zarezerwowana, daje nam niejaki przebłysk nadziei, uzupełnienia licznych luk przeszłorocznych, o ile notabene wiosna lepiej dopisze, niż dotychczas, bo począwszy od 1 kwietnia, tego dnia tak notorycznie zwodniczego (prima aprilis), mamy ciągłe deszcze, szarugę, niesłychane zimna ($+6^0$C), a bliskie stoki Beskidu, z dnia na dzień pokryte świeżym śniegu całunem.

A teraz jeszcze słów parę, dla dobra szanownych braci w Hubercie. Czytając liczne wykazy zabitych szkodników, tak w naszych jak i niemieckich pismach łowiectwu poświęconych, nie spotkałem nigdzie łyski (Fulica atra, L. Blässhuhn). Jest ona z wiosną pierwszym mieszkańcem naszych stawów, a liczba jej z każdym rokiem ogromnie rośnie, wbrew życzeniu właściciela rewirów stawowych, troskliwego o swe kaczki i rybną obsadę. Ten na pozór tak niewinny pływak, w krzyżackim na głowie chełmie nie tylko, że nam żadnej korzyści nie przynosi, bo ani przyjemności strzału ni uciechy myśliwskiej, ani spożywczej zwierzyny, przysmak ten zostawiamy bowiem chętnie, piwem znieczulonym germańskim podniebieniom, które się nim rozkoszują, a natomiast wyrządza nam znaczne, niczem niepowetowane szkody. Szkody te są:

1. Niszczenie obsady rybnej w stawach zarybionych narybkiem, a nie kroczkami, które to szkody, w obec żarłoczności łyski, są bardzo znaczne, i często przez jedno lato 20 do 30 prc. pierwotnej obsady wynoszą.

2. Niepokojenie kaczek w czasie parzenia, wtedy bowiem kaczki najczęściej na mieliznach i wierzchowinach spędzają swe miodowe tygodnie, a ruchliwa, krzykliwa i niespokojna łyska, zakłóca im te tak dyskretnie wybrane ustronia, i do opuszczenia ich zmusza.

3. Niszczenie jaj kaczych. Jakkolwiek kaczka, rzadko i tylko w braku miejsc dogodniejszych, jak ługów leśnych, bagien, mokrych łąk, podmokłych wiklin, kultur leśnych etc. na wierzchowinach i kępach stawów się gnieździ, to jednak wobec faktu, że miejsc takich w intenzywnych gospodarstwach stawowych zwykle brak, bo o ile możliwem, oględny gospodarz zamienia je na tak wysoko rentowne stawy, często zmuszoną jest do założenia gniazda na wierzchowinach i kępach stawowych, a wtenczas jaja jej stają się niezawodnym łupem żarłoczności czy też zazdrości łyski samca, który je z prawdziwym zapałem rozbija. Bardzo jest więc wskazanem, łyski, skoro się tylko na stawach z pierwszą wiosną (marzec, kwiecień) pokażą, bezlitośnie wystrzelać, zanim jeszcze kaczki zaczną się gnieździć, by tych w razie opóźnienia tej czynności, potem bezpotrzebnie strzałami nie niepokoić. Skórki z łysek zdjęte i wyprawione dadzą nam lekkie, trwałe, ciepłe, oryginalne futerka.

Każdy baczny obserwator przyzna słuszność powyższemu zdaniu i przekona się, że im więcej na stawach łysek, tem mniej kaczek, mimo dla nich najkorzystniejszych warunków. *Jan Chwalibóg.*

Pikułowice, 19. kwietnia 1901.

Ciągle pojawiające się artykuły w „Łowcu“ o chorobie lisów i zaszłe u mnie wypadki, wskazują na to, że wścieklizna, która roku zeszłego przeważnie w powiecie bobreckim wystąpiła, rozpowszechniła się obecnie na wielkiej przestrzeni, co było do przewidzenia, gdyż podczas cieczki odbywają lisy (psy) bardzo dalekie wędrówki.

Choroba ta w szeregach nieprzyjaciół naszej zwierzyny jest wcale pożądaną, ale ze względu na nasze psy należy przestrzegać, by lisy przynajmniej teraz zawsze i wszędzie jak najenergiczniej tępiono. Piszę teraz z powodu tego, że wszystkie lisy można obecnie uważać za podejrzane i dlatego iż znam myśliwych, którzy z powodu kiepskiego futra — lisa w lecie nie strzelają. nb., że takiego nie uważam za myśliwego. Wypadki zaszłe u mnie są następujące:

1. W pierwszych dniach marca znalazł gajowy lisa nieżywego tuż obok jam, a że był mocno wychudnięty, przeto można twierdzić, iż nie uległ truciźnie ale chorobie.

2. Dnia 2. kwietnia w godzinach południowych, została żona gajowego wywabiona krzykiem kur z chaty. Wyszedłszy zobaczyła ku swemu wielkiemu zdziwieniu tuż przed chatą lisa z rozwartym pyskiem i wywieszonym językiem, rozglądającego się leniwie na wszystkie strony. Nie tracąc czasu porwała tykę i dobrze wymierzonym razem, lisa zabiła. Warto było widzieć z jakim tryumfem w oczach zdawała mi z tego czynu raport.

Była to suka silnie wychudzona i jak sekcya wykazała szczenna. Zawartość żołądka, składająca się wyłącznie z własnych zdaje się kudłów, grudek ziemi i zgryzionych kawałeczków drzewa, wskazuje aż nadto, że uległa nie innej chorobie tylko wściekliźnie.

Ciąg słonek zaczął się w tych stronach 16. marca i trwał nieprzerwanie, ale słaby, do 22. Następnie śniegi i zimna przerwały ciąg prawie do końca miesiąca.

Najlepsze ciągi były od 6. kwietnia do 14, ale bardzo wielu myśliwych uważając ciąg za skończony i z powodu świąt nie polowało, jest więc nadzieja, że znaczna ilość słonek przeszła do miejsca swego lęgu cało, a tem samem można się spodziewać ładnego ciągu w jesieni.

Maryan Korwin.

Lwów, w kwietniu 1901.

Spełniając obowiązek sekretarza, posyłam do *Łowca* sprawozdanie „Towarzystwa myśliwskiego bełzkiego“ za rok 1900/1901 tj. z dorocznego polowania jesiennego 1900 i zimowego 1901.

Skład Towarzystwa od roku zeszłego i ostatniego w *Łowcu* sprawozdania pozostał niezmieniony, członków liczy Towarzystwo piętnastu pod prezesurą Aleksandra Hulimki. Zmieniło się tylko nasze terytoryum myśliwskie, obok bowiem lasu gminy miasta Bełza obszaru 1700 morgów, który Towarzystwo dzierżawi, od chwili zawiązania tj. od r. 1885, udało nam się wydzierżawić przyległy las Prusinowa, obszaru zwyż 1000 morgów.

Prusinów kupiła gmina miasta Bełza przed rokiem, las wyniszczony zupełnie, wymagać będzie wielu starań i wiele czasu, zanim dojdzie do porządku.

Na punkcie zwierzostanu na razie pustka prawie zupełna, ale też przez cały szereg lat strzelano tam wszystko bez względu na płeć i porę, mnóstwo enklaw chłopskich rozsianych po lesie ułatwiało kłusownictwo, nie mówiąc już o innych oficyalnych ułatwieniach ze strony poprzednich właścicieli. Mimo to jednak spodziewamy się, że wydzierżawienie Prusinowa wpłynie zbawiennie na podniesienie się zwierzostanu wogóle. Nasz dotychczasowy rewir graniczy z Prusinowem długą ścianą (pięć miotów), w lecie, w jesieni, a nawet w ciepłe słoneczne dnie w zimie, znaczna część naszej zwierzyny, zwłaszcza sarny przenoszą się chętnie na otwarte zręby prusinowskie — to też łatwo sobie wyobrazić, ile szkody w zwierzostanie mieliśmy z tej strony, a jakiej poprawy stosunków po wzięciu Prusinowa spodziewać się można.

Wielki urok Prusinowa stanowią cietrzewie, których tam wiele, choć i one przy rabunkowem gospodarstwie myśliwskiem w ostatnich latach dużo ucierpiały.

Dla zamanifestowania objęcia posiadania polowaliśmy w Prusinowie 5. stycznia 1901 przy 18^0 mrozu i wietrze, padł rogacz i pięć zajęcy, knieje puste zupełnie, ale też trudno obliczyć, ile zwierzyny padło tam przed 1. stycznia br.

Na przyszły rok będzie już niewątpliwie znacznie lepiej, a do kilku lat powinna ta knieja zaroić się zwierzyną — tak, jak tego znakomite naturalne warunki i ochrona spodziewać się każą,

Ogólny tegoroczny rezultat Towarzystwa nie wiele odmienny od zeszłorocznego. Padły 4 dziki, 14 rogaczy, 7 lisów, 50 zajęcy, 1 słonka i 2 sowy, razem sztuk 78.

Jesienne polowanie dało rezultat słabszy, niż w innych latach, głównie dlatego, żo dużo było dzików, a wskutek tego w wielu miotach zapowiedziany był pierwszy strzał do dzika — braliśmy nadto mioty na dziki, nie trzymając się dotychczasowego wypróbowanego porządku. Dziki widziane były w siedmiu miotach, padły tylko trzy i doprawdy nie mam odwagi powtarzać odnośnych ustępów protokołu polowania i tych wszystkich nieszczęśliwych przypadków ze szperami u drylingów, tych figlów fortuny czy złośliwych sylwanów, które wszystkie trzeba było zarejestrować — tembardziej, że wydarzały się tej jesieni w ciągu dwudniowego polowania doprawdy epidemicznie.

Tradycyonalny dobry humor na polowaniach Towarzystwa panował i w tym roku nieprzerwanie — toteż rozstaliśmy się po zimowem polowaniu z życzeniem jak najrychlejszego zobaczenia się znowu w Bełzie i z nadzieją lepszych rezultatów w przyszłym roku. *W. S.*

Ossowce, 23. kwietnia 1901.

Niezwykły strzał.

Czytelnicy „Łowca“ i koledzy moi myśliwi pamiętają zapewne moją zeszłoroczną korespondencyę o polowaniu na toki głuszców w Dombrowicy, majątku hr. Wiktora Platera na Wołyniu. Opisuję tam szczegółowo cały przebieg polowania na te piękne ptaki i urok niesłychany, jaki ono przedstawia. Zgadzam się zupełnie z zapatrywawaniem autora korespondencyi „o polowaniu na zasiadce“, kiedy myśliwy jest sam jeden z naturą i zbliska obyczajom mieszkańców lasu przypatrzeć się może. Polowanie na głuszce jest pokrewne polowaniu na zasiadce, tylko o wiele więcej urozmaicenia i poezyi przedstawia. W sam Wielki Piątek odebrałem z Dombrowicy telegram, że głuszce tokają, lecz święta Wielkanocne nazajutrz, wyjechać nie można, trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać. W nocy z poniedziałku na wtorek wyjechałem z Ossowiec i o dziewiątej wieczór byłem w Dombrowicy. Wiadomości o głuszcach bardzo dobre, jest ich dużo i dobrze tokują. W środę ku wieczorowi gospodarz i ja wybraliśmy się do lasu na zapad głuszców, czas był przyjemny i spokojny, lasy Polesia przedstawiały się w całym swoim uroku, trochę dzikim, lecz przez to piękniejszym. Szliśmy jeden za drugim dosyć wąską ścieżką, w tem o kilkadziesiąt kroków przed nami przeskoczył łoś dróżkę. Stanęliśmy, prędko wsunąłem kulę do lufy, leśniczy który szedł z nami, kazał stać cicho, on obiegnie naokoło, może łoś wróci. Posunąłem się kilka kroków naprzód i czekam spokojnie, rozglądam się na wszystkie strony i już obrachowuję zawczasu, gdzie będę łosia strzelał. Słyszę stąpanie i łamanie gałęzi, łoś się zbliża, mam go już na końcu lufy, w tem spostrzegam niestety, że to nie rogal tylko klempa czyli łosza, jak ją tu lud nazywa — zabicie jej jest surowo wzbronione — przeszła spokojnie koło mnie i zniknęła w gąszczu. Tymczasem zaczęło się powoli zciemniać i było już za późno posuwać się dalej, możemy głuszca spłoszyć, na wszystkie strony słychać chrapanie słonek, kilka z nich przeleciało koło nas, lecz strzelać nie można, bo głuszec czujny. Wróciliśmy ku leśniczówce, dokąd po chwili przybyli pobereźnicy którzy mieli śledzić głuszce i oznajmiają nam, że ich dużo zasiadło.

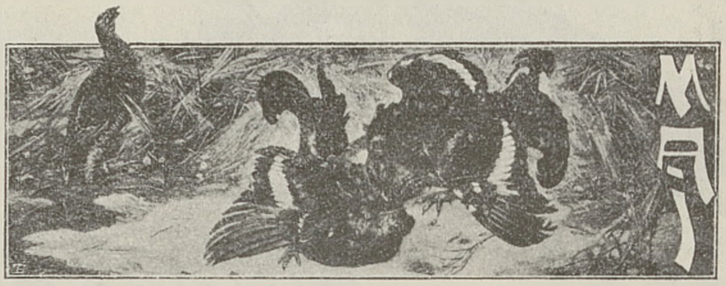
Nazajutrz rano, kiedy mamy się wybrać do lasu, czekała nas arcyniemiła niespodzianka w postaci burzy z piorunami, błyskawicami, deszcz leje silny, jechać nie można, cierpliwość więc znowu wystawiona na próbę. W czwartek wieczór wybieram się znowu na zapad głuszców do lasu, tym razem sam, gospodarz towarzyszyć mi nie może. Gdy sobie siedzę spokojnie i czekam aż głuszce zaczną zapadać, słyszę z tyłu za sobą jakiś szmer, oglądam się, aż tu widzę trzy dziki, które żerują. Zamieniam prędko śrót na kulę i zabieram się do strzału, niestety dziki mnie zobaczyły i poczęły uciekać, wysłałem za jednym kulę, lecz ona nie posłuszna memu rozkazowi wybrała sobie sosnę zamiast dzika. Jak widzą szanowni czytelnicy, dotychczas same niefortunne epizody, proszę więc o cierpliwość i czytać dalej. W piątek rano budzą mnie o drugiej w nocy, czas piękny, wiatru niema, księżyc świeci, wszystko się pomyślnie przedstawia — jazda do lasu.

Jestem na stanowisku, głuszec zaczyna tokować, podskakuję ku niemu, jestem już blisko, w tem kura zaczyna kwokać na ziemi, widocznie mego głuszca zaprasza do siebie, a ten jako dobrze wychowany młodzieniec

opuszcza drzewa i dąży ku niej. Zaczynam podchodzić drugiego głuszca, lecz tej nieznośnej kokietce nie dosyć jednego kawalera, drugiego ściąga do siebie, strzelam do niego jak przelatuje, między gałęziami trudno dobrze wziąść na cel, strzał chybiony. Każdy myśliwy pojmie jaka mnie wtedy ogarnęła rozpacz, wszystko daremne, trzeba bez niczego wracać do domu. Gdy tak stoję zwątpiony co dalej począć, szepcze mi na ucho niezrównany pobereżnik, Domaradzki: One skaczą na ziemi, może jeszcze będą grały, trzeba się ku nim zbliżyć“. Posuwamy się powoli, przed nami mała łączka wśród krzaków, na tej łączce spostrzegam kokietkę kurę głuszca, która kwoka. Teraz nastąpiła scena godna pendzla Falata, który tak pięknie i wiernie umie odtwarzać sceny myśliwskie. Z przeciwnych dwóch stron łączki, wyskoczyły dwa ogromne koguty, skoro się zobaczyły stanęły naprzeciw siebie dwa rywale jako rycerze, głowy spuściły na dół, rozczepierzyły skrzydła i rozłożyły ogony jako wachlarze. Choćby kto nie był myśliwym i nigdy strzelby nie miał w ręku, ten nawet pojmie jakie mnie ogarnęło wzruszenie i emocya, widok tych dwóch zapaśników, tak wspaniale wyglądał, żem nawet nie śmiał strzelać. Skoczyły do siebie jak dwa wściekłe brytany, bijąc się skrzydłami, dzióbem i pazurami, robiąc przytem taki hałas, jakby kto kijem walił po desce. Nakoniec się opamiętałem i żyłka myśliwska wzięła górę, strzeliłem. Po strzale zrobiło się cicho i dwaj rycerze leżeli na ziemi trzepocząc z lekka skrzydłami, zginęli obydwaj zapaśnicy od jednego strzału, aż mi ich żal było. Były to dwa wspaniałe koguty, które może już niejedną walkę ze sobą toczyły, we wspólnym uścisku się pogodziły. Powróciłem do domu z moją piękną zdobyczą, gdzie naturalnie opisom i opowiadaniom nie było końca. W sobotę rano wybrałem się znowu na toki, lecz do innej części lasu, tym razem bez powodzenia. Przypadek zrządził, żem natrafił na koguta tak zwanego przez lud tamtejszy krechtunem, jest to oszukaniec, który zaczyna na początku dobrze grać, lecz po pewnym przeciągu czasu urywa swoją pieśń, wydaje pierwsze akordy a potem cicho. Utrzymuje on myśliwego w pewnej fałszywej nadziei, rezultat jednak fatalny, bo się czas traci, robi się dzień, koguty zapadają na ziemię i polowanie skończone. Jedyne urozmaicenie, które miałem w czasie podchodzenia tego krechtuna było wycie wilków, które wywodziły swe żałosne trele o kilometr odemnie. Muzyka to jest przeraźliwa, jakby szczyt jakiej strasznej rozpaczy i niesłychanego żalu. Ktokolwiek raz to słyszał, temu nuta tej bolesnej muzyki brzmi w uszach. Stan głuszców w Dombrowicy jest wyjątkowo piękny, widziałem ich kilkanaście, przyjście do strzału trudne, choć pobereźnicy znakomicie umieją podprowadzać. Lasy tamtejsze posiadają zwierzynę, którą coraz rzadziej się spotyka, piękny stan łosi, liczą ich przeszło sto, prócz tego na jeziorze wśród lasu mają bobry swoje budki. Porządek i spokój w lesie sprawiają, że zwierzyna się nie płoszy, kłusowników pilnie ścigają, dla prawdziwego myśliwego, który lubi polowanie na grubego lub rzadkiego zwierza, pole popisów znakomite. Zajęcy naturalnie mało, lecz któżby o biednym szaraku myślał, gdy się spotkać można z łosiem, wilkiem, dzikiem i wspaniałym głuszcem. Wielki szkodnik tamtejszy jest ryś, ostrożny to zwierz, trudno się z nim spotkać, podobno i na łosie się rzuca. Powracając do domu, ubolewałem że głuszec tylko z wiosną swoją pieśń nuci, trzeba będzie cały rok czekać na te piękne myśliwskie gody.

Alexander hr. Potocki.

Kalendarz łowiecki.



Maj! Jeszcze parę dni słychać w głębszych górach pieśń zakochanego głuszca, jeszcze tokują cietrzewie, ale w ogólności zwierzyna nasza już bezpieczna, bo oddana dziełu mnożenia swego rodzaju, znajduje ochronę i w ustawie pisanej i w zwyczajowem prawie łowieckiem.

„Wówczas na ziemi sercu już najmilej,
„Bo każda ptaszka nad gniazdeczkiem kwili,
„I każda muszka już do zorzy brzęczy,
„I każdy kwiatek do nieba się wdzięczy,
„I każda rybka wykąpana w zdroju:
„I jest przymierza chwila i pokoju!...

Jeżeli jednak w tej chwili od człowieka zwierzyna doznaje ochrony, to ma nieprzyjaciela obecnie tak groźnego, jak nigdy. Oto liszka, której rodzina się znacznie powiększyła, szuka dla niej pożywienia i mordy i grabieże obciążają obecnie w znaczniejszej mierze jej i tak już czarne sumienie. Ptaki drapieżne również usilnie pracują nad tem, żeby ich młode dobrze wyglądały i także ogromne szkody czynią w zwierzynie. To też myśliwy wykopuje teraz lisy i niszczy gniazda, starając się także i starym rabusiom dobrać się do skóry.

Ustawa pozwala do połowy tego miesiąca strzelać do cietrzewi i głuszców, od połowy do rogacza.

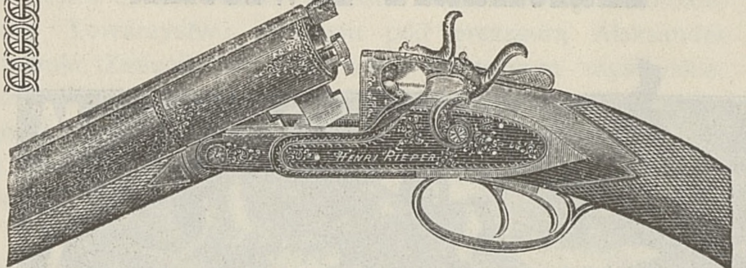
Kronika.

Sprostowanie omyłek. Z przyczyn od Redakcyi niezależnych, ostatnia szpalta poprzedniego numeru, zawierająca kronikę, wydrukowaną została bez korekty, wskutek czego wkradło się do niej kilka rażących błędów. Mianowicie w notatce o ukończeniu wyprawy myśliwskiej hr. Józefa Potockiego, podano fałszywie parę nazwisk, które szanowni czytelnicy sami sobie już sprostowali, ale które poprawiamy tu dla porządku. I tak: zamiast „muzeum hr. Branickich“, podano „muzeum hr. Poranickich“, zamiast „Biały Nil“, „Biały Mr.“, zamiast „ks. Henryk Lichtenstein“, „ks. Henryk Kieltenstein“.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka
broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

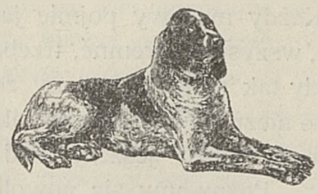
Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).



W Łańcucie u łownego Lewickiego są do nabycia psy: „Nero z wierzchu kawowy, pod spodem krasy, w drugim polu. „Tiro“ anglik żółty, w drugim polu, para jamników czarno podżarych, ułożonych na lisy, ciętych — tanio do sprzedania. „Kora“ anglo - czeskiej rasy, ciemny kasztan, w pierwszym polu. „Hektor“ anglo-czeskiej rasy, 6 miesięcy. „Milan“ anglo-niemieckiej rasy, biały z żółtymi plamami i nakrapiany szczeniak 5 miesięcy.

Spółka wydawnicza polska w Krakowie

poleca

świeżo wydaną wytwornie, z portretem mistrza broszurę p. t.

JULIUSZ KOSSAK

Skreślił Józef Skarbek Borowski. — Nakładem autora

Cena koron 3, z przesyłką 3·30.

Do nabycia we wszystkich księgarniach z wyjątkiem w Rosyi.

Rewolwer 6-strzałowy systemu Dreysego, kaliber 25 m. wraz z futerałem jest do sprzedania u rusznikarza Kopczyńskiego we Lwowie, ul. Wałowa l. 5.

Bibułka odznaczona najwyższą nagrodą na wystawie światowej w Paryżu 1900. oraz złotym medalem na wystawio przyrodn.-lekarsk. w Krakowie 1900

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

„NORIS“
Władysława Bełdowskiego

magistra farmacyi i chemika w Krakowie.

Dla łatwego wyboru tutek polecam:

Tutki białe „Noris“
„ „ „ z watą — do tytoniów lekkich specyaln.
„ kukurydzowe „Maïs Numa“
„ „ „Maïs Albert“
„ „ „Maïs de Paris“
„ „ „Moïs Wallis“ — do tytoniów specyalnych
„ egipskie „El Maur“
„ „ „Offic. Club“.

Na żądanie wysyłam darmo i opłatnio okazy tutek.

Idąc z postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania P. T. palących papierosy, wprowadziłem tutki „NORIS“ udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony **nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, a wskutek tego, całego papierosa można smacznie wypalić.**

Wogóle zwracamy uwagę na **tutki białe „NORIS“** i **kukurydzowe**, odznaczają się bowiem chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływają ujemnie na **zmianę smaku i zapachu tytoniu**, a to jest ich bardzo wysoką zaletą, **że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.**

Liczne uznania, jakie odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia we wszystkich handlach i trafikach.

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: W składzie osobliwszych gatunków tytoniu i cygar, ulica Karola Ludwika.

Z wysokim poważaniem

WŁ. BEŁDOWSKI, magister farmacyi i chemik.

Poselska 20.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**